Dodatek do Nr. 40 „Prawdy".

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 20. Sobota, dnia 1-go Października. Rok 1910

BOŻEK MILION.

Powieść przez Waleryę Marrene (Morzkowską).

(Ciąg dalszy.)

— Kocham cię Cecylio — powtórzył Kilian, opasując ramieniem jej kibić, i przyciskając ją do piersi; — kocham cię i błogosławię czas miniony, który mi podobną chwilę zgotował. Wszak powierzysz mi życie swoje?

— Życie i przyszłość — powtórzyła, patrząc na niego promiennem okiem; — gdzie zechcesz, gdzie mnie zawiedziesz, pójdę bez trwogi, choćby podzielić mi przyszło zawody i bóle, choćby skonać mi przyszło.

On przycisnął ją mocniej do siebie, ale słowa te zupełnego oddania się nie zdziwiły go. Uczucie jego było tej samej miary. Więc rzekł poważnie, chociaż głos drżał mu na ustach.

— Masz słuszność, Cecylio moja, łączymy się na złą i dobrą dolę. Ja wiem, że znajdę w tobie osłodę w pracy, pomoc w potrzebie, odwagę w walce, wiarę, ufność i przebaczenie; ja wiem, że na twojem sercu jak na opoce wesprzeć się mogę.

— Kilianie! Ja będę tobie tem wszystkiem, czem zapragniesz, ja nie uczuję nawet bólów życia zapatrzona w ciebie.

Umilkła — i tylko gwiazdy co patrzyły na nich, były świadkami cichych łez rozkoszy, płynących po jej twarzy zrumienionej pierwszem wyznaniem. Serce przy sercu biło silnie, jednozgodnie, i zdało się, że z za tych gwiazd brylantowych spoglądał wszechwładny archanioł miłości, i spłynął pomiędzy nich w promiennej chwale. I nastała cisza długa, jak gdyby czuli wkoło siebie obecność nieśmiertelnego.

Kilian przerwał ją pierwszy.

— I nie zapytasz mnie o nic Cecylio? — wyrzekł, — ani nawet o tę przeszłość?

— Cóż mi ona znaczy? musiała być szlachetną, skoro wyrobiła cię takim, jakim dziś jesteś. A zresztą jakiebądź były fakta, ja teraz kocham ciebie.

On uśmiechnął się z zachwytem na ten wyraz bezwarunkowej wiary; tylko to jedno serce do niej zdolne było. Wsparty taką miłością czuł się dumnym, wielkim, szczęśliwym, jak prawdziwy pan świata.

— A jednak — odparł — przeszłość moja także do ciebie należeć musi; oddaję ci się cały z tem dziedzictwem życia. Chociażbyś chciała nawet odrzucić je, nie możesz.

— Ja nic nie odrzucam — pochwyciła; — masz słuszność, to co jest twojem, mojem także być powinno. Ze wspólnego życia, ni wspomnienia ni myśli żadnej wykluczać nam nie wolno. Mów mi o sobie Kilianie; jeżeliś cierpiał, ja mam prawo do cierpień twoich, do win jeżeliś przewinił, do szczęścia i miłości, jeśliś był kochanym.

— Nie byłem kochanym nigdy — odparł Kilian wstrząsając głową. — Ale posłuchaj przeszłości mojej, to powieść długa i bolesna; ja raz zażegnać muszę sercem twojem to widmo wspomnień, które dotąd nieraz kłóciło mi obecność.

I z ręką w jej ręku, z oczami zatopionemi w jej oczach — mówić zaczął.

— Powiedziałem ci nazwisko moje Cecylio; i szanowałaś dalsze milczenie moje, chociaż nazwisko to musiało budzić twą ciekawość. Jestem synowcem hrabiego Feliksa Horeckiego, jedynym synem brata jego Juliusza, dziedzicem całego majątku, który posiada. Zrodziłem się w zbytku, chowałem w złotych pieluchach, do lat ośmnastu zaznałem samych rozkoszy.

Matki mojej nie znałem nigdy, niewiem nawet jej pochodzenia, ojczyzny, nazwiska z rodu. I tutaj plącze się węzeł mego losu. Za to ojciec był mi ojcem i matką zarazem; w pierwszych nawet latach dzieciństwa nie poczułem straty mojej, nie doznałem braku matczynej opieki. Ojciec zastąpić ją umiał. Pierwszy wiek mój spędziłem w nieustannych podróżach, bo zdało się, nie było kąta ziemi, którejby ojciec mój nie zwiedził przez długie lata koczującego życia. Przebiegał on na przemian kipiące warem zwrotnikowe strefy, i ponure biegunowe kraje. Niepokój wewnętrzny, smutek nieuśpiony niczem, zdawał się gnać go jak wiecznego tułacza z miasta do miasta, i z kraju do kraju. Ni dziewicze lasy Nowego Świata, ni południowa Europa zdobna cudnym klimatem i cudami cywilizacyi, ni wyspy rozkoszne, rozsiane po oceanie Australskim, nie zdołały zatrzymać go czarem swoim w tej wędrówce bez celu ni kresu. Ogromny majątek po-

zwalał mu zadość uczynić wszystkim fantazyom czy potrzebom znękanego ducha; bo odkąd go zapamiętam, był poważnym i smutnym bardzo, a czoło jego surowe rozjaśniało się dla mnie tylko jednego. Jam był całą miłością jego, jedynym uśmiechem życia.

Chociaż sierota, byłem szczęśliwym; czułem się troskliwie, rozumnie, niewypowiedzianie kochanym. A czyż dziecku więcej potrzeba? Wzrastałem wśród różnych krajów, scen, klimatów, zawsze pod tą opieką, która przewidzieć umiała potrzeby i prawie chęci moje; rozwijałem się pod jej wpływem, umysł mój był szybki i pojętny.

O matce nie mówiono mi nigdy. Raz tylko z nieoględnością dziecka rzuciłem ojcu znienacka pytanie, gdzie była matka moja, i pamiętam dotąd tę chwilę i wywołane wrażenie. Ojciec mój zadrżał cały, i zakrył twarz rękami; czas jakiś zdawał się pasować sam z sobą, a ja pojąłem że cierpiał, i obejmując kolana jego, bo wyżej dostać nie mogłem, tuliłem się do nich z płaczem. Wówczas on przygarnął mnie do siebie silnie, namiętnie; podniosłem głowę, spojrzałem w twarz jego — był bladym bardzo.

— Matka twoja jest w niebie, Kilianie — rzekł głosem, w którym łzy drżeć się zdawały — ty jeden zostałeś mi po niej.

Odtąd nie pytałem go już nigdy więcej. Bo chociaż dziecko, wychowany pod cieniem cierpienia, rozumiałem, że są struny, których nie dotyka się bezkarnie. Oto wszystko, co wiem dotąd o matce mojej, oto co mi po niej zostało.

I dobył zawieszony na szyi złoty medalion. Była w nim miniatura zatarta, wypełzła, przedstawiająca młodą kobietę, piękną jak marzenie. Farby straciły świeżość barw, róże zeszły z jej ust i liców, i twarz ta podobną była do sennego widziadła. Zdawała się wizerunkiem wiotkiego ducha bez krwi, o alabastrowych rysach, a nie portretem żywej kobiety. Tylko oczy wielkie, czarne, świeciły namiętnym a słodkim blaskiem z za długich rzęs, z za ciemnych powiek, z jakimś wyrazem smutnym a głębokim, jakby przeczuwały, że tak prędko zagasnąć im przyjdzie. A wejrzenie to miało urok tak dojmujący, że można było zapatrzeć się w nie bez końca, i nie zapomnieć go nigdy. Na szafirowo kruczych włosach zarzucona hiszpańska mantyla, równie jak oczy i barwa włosów świadczyć się zdawała o pochodzeniu południowem.

— Ten wizerunek — mówił dalej Kilian — znalazłem na piersiach umarłego ojca; to cała moja spuścizna! To też w dniach nędzy, zwątpienia i głodu nawet, nie rozstałem się z nim nigdy.

Umilkł, przez chwilę wpatrując się w miniaturę; ale nie zważając na wzruszenie swoje, jakby oddawna przywykł nad niem panować, ciągnął dalej opowiadanie.

— Kończyłem lat siedmnaście, gdy mój ojciec wrócił do Polski. Tu poraz pierwszy poznałem hrabiego Feliksa i jego rodzinę. Dotąd pomiędzy nim a bratem stosunki były zimne bardzo, z powodu dawnych zajść, których historyi nigdy nie znałem dokładnie. Podobno większą część rodzicielskiego spadku zagarnął hrabia Feliks, korzystając z nieobecności brata. Za powrotem swoim jednakże, ojciec mój zastał go zrujnowanym prawie zupełnie, nierząd, rozpusta i zbytki roztrwoniły źle nabytą fortunę. Widząc to ojciec mój, zapomniał przeszłości; nieszczęście brata zbliżyło go do niego. Nietylko ofiarował mu dom swój, przypuścił do świetnego życia jakie prowadził, ale serce jego szlachetne, niepomne uraz, otworzyło się znowu dla rodziny.

Bo też w Feliksie znalazł najczulszego brata; tak, iż nieraz patrząc na stryja, zadawałem sobie pytanie, jak on mógł przebyć bez mego ojca długie lata życia? Ja byłem ulubieńcem stryjostwa; kochali mnie więcej niż wszystko, więcej niż własne dzieci nawet. On nieustannie chciał mnie mieć przy sobie, ona chciała mi zastąpić matkę. Wilhelm zdawał się zgadywać myśli moje, przewidywać życzenia; a Amelia — nad Amelię ja nic nie widziałem na świecie całym.

Byłem bardzo szczęśliwy. Pieszczoch ludzi i losu, wierzyłem wszsytkim i wszystkiemu. Bo i dlaczegóż wierzyć nie miałem? nikt dotąd nie zawiódł mnie, nie przeniewierzył mi się nigdy. Wyciągałem do świata otwarte ramiona i serce pełne a spragnione. Nie wiedziałem nawet, co to fałsz, podłość, obłuda; uczucia moje były czyste, życie uśmiechało mi się w poranku swojem, pragnienia zamieniały się w czyn, marzenia stawały się faktem. Dotąd na mojem niebie nie było cienia chmurki nawet.

To też wzrok mój błyszczał radością, uśmiech nie schodził z ust; ślizgałem sie po powierzchni życia z nieporównaną swobodą ducha, nie przewidując, jak dziecko, ukrytych przepaści jego. Byłem szczęśliwy, i szczęście to rozlewać musiałem wkoło siebie, bo nieraz promień jego padał na poważne oblicze ojca i rozchmurzał je. Znajomości moje były liczne; gdziekolwiek zwróciłem się, wszyscy byli mi przyjaciołmi. A jednak domowe koło najwięcej miało dla mnie uroku, bo tam była Amelia...

Kochałem ją. Niech słowo to nie przeraża cię Cecylio; miłość tą przeszła dawno, niepowrotnie, bo ona sama ją zabiła. A dziś, gdy ją sądzę zdaleka, gdy z rozwagą człowieka wspominam namiętność dziecka, dziś ja tego uczucia nawet miłością nazwać nie śmiem. Ale wówczas miałem lat ośmnaście, serce moje rwało się do współczucia, kipiało warem żądz młodzieńczych. Amelia chociaż starsza odemnie, była piękna, zręczną, znała serca ludzkie i sposób podbijania ich; majątek ojca mego był ogromny, ona nie miała posagu... Późno bardzo grę jej zrozumiałem, w chwili nieszczęścia dopiero. Podbić mnie, było dla niej łatwą igraszką; pragnąłem kochać, i rozmarzony, upojony, poddałem jej się bez wahania, uwierzyłem jej spojrzeniom, słówkom, obietnicom. **(Ciąg dalszy nastąpi).**

DZIWNE SERCE.

Dziwne serce u tych ludzi,
Co kochają siebie —
Niczem dla nich kraj, ojczyzna,
Ni słonko na niebie,
Ani krwawa łza niedoli
Serca im nie wzruszy,
Ani straszna myśl o śmierci
Nie wejdzie do duszy,
Dla nich życie tylko po to,
Aby jeść, pić, zbierać złoto!

Dziwne serce u tych ludzi,
Co zazdrość w nich kryją,
Oni piołun zamiast miodu
W każdej chwili piją.
Wszędzie widzą wrogów swoich
Wszędzie krzywdę czują.
Zamiast kochać bliźnich — braci —
Życie gniewem trują...
Nie zazdroszczą innym cnoty,
Lecz za groszem mrą z tęsknoty.

Dziwne serce u tych ludzi,
Co wiedzy nie znają,
Jakby ciemni — w drogach życia
Ciągle się błąkają.
I nie wiedzą co ojczyzna,
Jakie rany, bole...
Ile cierpi — jaka biedna
W srogich męczarń kole...
Serce ogniem nie zapłonie,
Bo jak martwe leży w łonie...

Dziwne serce — najdziwniejsze
Przecie u tych ludzi,
Których wiara i nauka
Do cnoty wciąż budzi,
Których przykład — dobre słowo
Wołają do pracy,
By dłoń spletli, by stanęli,
W zgodzie jak rodacy...
Ale głuche są ich serca,
Zimne — jakby z głazu,
Nie zabiją dla ojczyzny
Żywiej ani razu...
Takie serca — chociaż polskie
Nie dla Polski żyją...
Dziwne serca — zda się martwe,
Chociaż jeszcze biją!

Niech Bóg broni i zachowa
Nas od takich ludzi,
Co kochają siebie tylko,
Kraj się nimi łudzi.
Nam potrzeba serc jak ognia
Do poświęceń zdolnych,
Nam potrzeba serc szlachetnych
I wielkich i wolnych.
Bo kraj wtedy się odrodzi
Gdy naród się zbudzi...
A więc budźmy — samolubnych,
Ciemnych budźmy ludzi!

Jadwiga z Łobzowa.

DZIEDZICZNOŚĆ.

Mężczyźni i kobiety wstępujący w związki małżeńskie, kierują się wyłącznie samolubnem pragnieniem osobistego szczęścia, a nie zawsze zastanawiają się, że związek małżeński to nietylko krok ogromnie ważny w życiu jednostki, — to zarazem przysporzenie społeczeństwu nowego członka, nowej siły.

Nie dosyć na tem, aby społeczeństwo powiekszało się liczebnie, ważniejszem jest, o ile przysporzymy mu wartości, o ile jednostki składające naród będą zdrowe i silne na ciele i duszy.

Rodzina zatem, gniazdo młodego pokolenia, urobić powinna młodzież na ludzi dzielnych, uczciwych, wyposażyć ją w te wszystkie zalety, które człowieka czynią pożytecznym bliźnim, szanowanym i miłym.

Stara to jak świat prawda, a jednak warto ją zawsze przypomnieć, że kto za młodu nie został wychowany w zasadach uczciwych, chrześciańskich, komu nie przyświecały dobre przykłady rodziców, ten w późniejszem życiu łatwo daje się uwieźć złym przykładom, traci równowagę wewnętrzną i ulega licznym i silnym pokusom życia.

Na rodzicach zatem ciąży wielki i ważny obowiązek, aby przekazali dzieciom ducha prawdziwej pobożności, uczciwych zasad, miłości bliźniego, słowem prawdziwej moralności chrześciańskiej, aby pracowali nad wykorzenieniem w dzieciach złych skłonności objawiających się już w pierwszych latach dzieciństwa, jako to: gniewu, kłamstwa, lenistwa.

Skłonności takie są czasem nabyte siłą złego przykładu, częściej jednakże odziedziczone po rodzicach. Siła dziedziczności jest tak potężna, że dla zwalczenia jej potrzeba wielkich, długich wysiłków wychowania, przykładu, dobrych wpływów — a wszystko nie zawsze jest skuteczne.

Szczególnie wyraźnie objawia się dziedziczność w dzieciach pijaków i rozpustników. Dzieci ojca pijaka są nietylko umysłowo upośledzone, ale przynoszą ze sobą na świat fatalne skutki pijaństwa: gwałtowność, rozpustę. Rodzą się najczęściej wątłe, bezkrwiste, niechętne do pracy, słowem zwyrodniałe, skłonne do złego.

Dzieci rodziców rozumnych, wysoko uzdolnionych lub odznaczających się szlachetnością charakteru, dziedziczą zazwyczaj te piękne dary po rodzicach.

W życiu sławnych ludzi znajdujemy liczne i wyraźne dowody siły dziedziczności. Zawsze był to wybitnie rozumny ojciec lub wysoko inteligentna i zacna matka, którzy przekazali dzieciom zarody przyszłych cnót, wspaniałe dary umysłu i serca.

Jeszcze wyraźniej i silniej objawia się dziedziczność pod względem cielesnym. Choroby, ułomności, kalectwa rodziców przechodzą prawem dziedzictwa na dzieci, nieszczęśliwe ofiary lekkomyślności lub nieszczęścia.

Jakże wielką i doniosłą jest zatem odpowiedzialność małżonków wobec potomstwa. Zostać matką i ojcem nietylko ciała, ale i duszy dziecięcia, widzieć w niem spotęgowane dobre lub złe przymioty, jestto zaiste rzecz tak wielkiej wagi, że koniecznie pobudza myślącego człowieka do gruntownej rozwagi, do głębokiego zastanowienia, zanim wypowie uroczyste słowo ślubnej przysięgi, zanim założy gniazdo rodzinne.

M. G.

Wino z owoców.

Pożądanem jest, żeby spożycie alkoholu zmniejszało się bezustannie. Jest on tak szkodliwy dla zdrowia ludzkiego, zwłaszcza w ciężkich warunkach życia, tak drażni nerwy, tyle wywołuje poważnych chorób (mózgu, woli, przeczulenie nerwów, niepłodność i t. p.), że musi być uważany za wroga ludzi.

Tymczasem jednak, zanim przyjdzie do usunięcia całkowitego spożycia alkoholu, dążyć przynajmniej należy do zastąpienia najszkodliwszych form (wódki, likiery, piwo w wielkiej ilości) — mniej szkodliwemi. Do takich należą dobrze zrobione napoje z owoców, zwłaszcza z jabłek i gruszek, ale także z porzeczek, agrestu, czarnych jagód. Zawierają one kwasy owocowe, do trawienia dopomagające, a przytem i trochę alkoholu (5—10%), który się wytwarza przez fermentacyę z cukru w owocu zawartego. Źle zrobione wina takie mogą być szkodliwe dla zdrowia, z powodu fermentów gnilnych i drożdży złego gatunku, które w sobie mieszczą. Dobrze zrobione — zastępują winogronowe, więc ograniczają dowóz obcego wytworu do kraju, powstrzymując odpływ pieniędzy, a więc bogacąc naród. Obecnie wyrabia się wina z owoców według następujących zasad:

Udoskonalenie w robocie polega na tem, że zamiast drożdży, znajdujących się w skórce owoców lub przypadkowo w powietrzu, do soku wyciśniętego, dodaje się drożdży czystych, pewnych gatunków win. Nadają one płynowi przefermentowanemu z niemi smak określonego gatunku wina, n. p. białego francuskiego, reńskiego lub węgierskiego i t. p. Czystych drożdży dostarczają rozmaite stacye spocyalne. Owoce surowe na wyrób wina powinny być świeże i tanie, ale też mamy ich teraz coraz więcej, i w porze letniej i jesiennej istotnie ceny są bardzo niskie, rozumie się w roku urodzaju.

Takie owoce czyste i zdrowe (chore części trzeba starannie wykroić) w całości poddaje się wygnieceniu w prasach. Na użytek domowy wystarczają małe prasy śrubowe amerykańskie, w składach towarów żelaznych sprzedawane. Sok taki świeży ogrzewa się prawie do zagotowania, żeby zniszczyć w nim drożdże dzikie (z powietrza i ze skórki owoców pochodzące), a po ostudzeniu, dodaje się odpowiednią ilość drożdży czystych. Teraz umieszczamy naczynia z sokiem (beczki, balony szklane i t. p.), bardzo czysto wymyte przed nalaniem, w miejscu o temperaturze około 15°—18° C.

Po ukończeniu fermentacyi burzliwej, gdy się płyn uspokoi, przelewamy go do innych beczek, najlepiej po koniaku lub dobrem winie, zlewając ostrożnie z ponad drożdży, które w beczce pozostają.

Wino z jabłek jest bardzo dobrym materyałem na wina musujące, podobne do szampańskiego. Żeby je zrobić, wlewają wino w butelki silne, dodają kawałeczek najlepszego cukru, zakorkowawszy szczelnie — drutują i umieszczają wino w miejscu o temperaturze 15° C. Potem co kilka tygodni, a dalej co parę miesięcy przenoszą je do piwnicy, coraz chłodniejszej. Jest to robota długa, zmudna, wymagająca umiejętności. Zamiast tego można wpędzać kwas węglowy sztucznie, jak do napojów gazowych, ale trzeba do tego posiadać przyrządy.

Porzeczki i agrest zawiereają zamało cukru, a zadużo kwasów, żeby sok ich wprost mógł wydać dobre wino, przydatne do picia. Dlatego rozcieńczają sok, z nich wyciśnięty, wodą i dodają do niego cukru. Stosunki te ulegają zmianie, zależne od dojrzałości porzeczek i agrestu oraz od ciepłego lub chłodnego lata. Mniej więcej na 10 kg. porzeczek białych dodaje się 20 litrów czystej miękkiej wody i od 3 aż do 9 kg. cukru. Im więcej cukru (ale nie więcej niż podano, bo płyn nie mógłby fermentować poza tą granicą), tem wino będzie mocniejsze, tem dłużej też trwa. Dla agrestów, na 10 kg. owoców daje się wody 14 litrów, a cukru od 3 do 8 kgr Do soku czarnych jagód potrzeba na 10 kl. 6 litrów wody i tylko 2 do 5 kg. cukru. Jest to wino tanie, zastępuje czerwone.

Nadzwyczajna czystość rąk i wszelkich naczyń używanych do wyrobu, ogrzanie soku, dodanie do niego zaraz po ostygnięciu czystych drożdży, pomieszczenie płynów w miejscu przewietrzonem i wolnem od pleśni, a posiadającem odpowiednią temperaturę, nareszcie przechowanie w piwnicach często siarkowanych i od mrozu wolnych, to są warunki otrzymania win smacznych i czystych.

Najmniej z nich szkodliwe są najsłabsze, ale te prędko ulegają zepsuciu. Trudno je przetrzymać dłużej niż 2 lata. Z drożdży trzeba płyny zlewać starannie i ostrożnie, bo zwłaszcza w gorszym gatunku i w większej ilości, stają się szkodliwe — powodują zaburzenia w trawieniu.

Luźne uwagi.

Znacie pewnie dobrze jeden kwiatek zwany mleczem; rośnie on wszędzie u nas na łąkach i wygonach, kwitnie żółto, a potem ma puszytą główkę; otóż jeżeli na tę główkę dmuchnąć, to puszki rozlatują się na wszystkie strony, a że są to nasionka, więc wszędzie się rozsiewają na łąkach, drogach, czepiają się murów, a gdzie znajdą odrobinę ziemi, tam się o nią zaczepi i wyrasta nowa roślina, a że nie wiele potrzebuje dla siebie, bo tylko trochę pyłu, słońca i rosy, więc szybko rośnie i znowu wydaje takie lekkie nasionka. Dlatego mlecz tak wszędzie spotykany, chociaż nikt go nie sieje.

Otóż tak się dzieje ze słowami ludzkiemi jak z temi nasionkami. Przy lada okazyi dużo ich i łatwo wylatuje i czepiają się wszędzie, ale potem nieraz wielkiem jest zło, które one wyrządzają.

To też powinniśmy o tem pamiętać i strzedz się niepotrzebnego gadania.

Od bardzo dawnych czasów ludzie wiedzą o tem i mówią, że: mowa jest srebrem, ale milczenie jest złotem. A to dlatego, że człowiek, chociażby najpiękniej mówił, ale czasem, w prędkości coś takiego powie, czego potem może żałować, a milczenie tego się nie boi.

Nie chodzi, broń boże, o to, żeby ludzie chodzili jak mruki i na migi tylko z sobą się porozumiewali, bo mowa jest jednym z drogich darów Bożych, przez który różnimy się od zwierząt; ale chodzi o to, żebyśmy tej mowy nie nadużywali, to jest, nie używali na złe, na plotki, obmowę i obelgi czyli wymysły, bo z tego bywa grzech i obraza Boska, a krzywda ludzka.

Rodzice! oduczajcie wasze dzieci już od małego próżnej paplaniny i słów bezmyślnych, przypominając, że niebaczne słowo może sprowadzić wiele nieszczęść, bo mówi przysłowie: czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci.

Nakładem redakcyi „Prawdy“, Kraków. — Czcionkami „Katolika“, spółki wyd. z ogr. odp., Bytom.